

Nie obudził mnie widok bezzębnego uśmiechu Kuby Rozpruwacza ani Andrzeja Gołota, palcem rozgniatający orzechy kokosowe. Śniłem dalej. Przetrzyłbym King Konga, który wysysał krew z pletwala błękitnego oraz tulącego się do mnie mistrza sumo. Te i sto innych koszmarów przetrzymałem, ale gdy zobaczyłem dziwnie patrzącego na mnie redaktora Wacława K., gdy w ciemności dostrzegłem wolno unoszącą się nade mną jego pięść kościstą i lśniącą niczym kafar - poddałem się. Redaktora Wacława K. nie da się przetrzymać, zwłaszcza jeśli ma on - jak w moim śnie - szyję okutaną wytworoną skórą z lisa. Zerwałem się z krzykiem, ale na jawie nie było lżej. W lewym kolanie urosła mi dynia z Czarnobyli. Rany boskie! To była ostatnia refleksja lekarza (40 lat praktyki, 10 lat stażu w szpitalu w nowojorskim Harlemie). To zdołał wycedzić, nim zemdlął.

Niedzielną świt, mój pryncypał z gejowskimi akcesoriami wokół szyi nawiedza mnie we śnie, rzepka kolanowa w totalnej rozsypce, stary lekarz na ziemi. Cóż się wczoraj stało?! Przecież ja tylko byłem z redaktorem Wacławem K. w teatrze, byliśmy w Ludowym na premierze farsy „Prywatna klinika” - i tyle. Czyżby dziś w teatrze bili krytyków? A jeśli nawet, to dlaczego nie pamiętam, że bili? Co się, do diabła ciężkiego, wydarzyło, że mam dynię w nodze? Idźmy tropem lisa. On był w spektaklu. Może lis coś wyjaśni?

Wytwórna, kompletna skóra z lisa, a obok Tomasz Schimscheiner w roli Ryszarda. Ryszard jest weterynarzem o, by tak rzec, rozdartym sercu.

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Dynia w kolanie

Z jednej strony wielbi zwierzęta, z drugiej - nasz narodowy napój orzeźwiający. Prawdę rzekłszy, Ryszard jest koneserem urwanych filmów i tylko czasem jest z nami. I właśnie w jednej z takich nielicznych chwil, tuż po tym, jak kolejny urwany seans się skończył, Ryszard zauważa wiszącą na wieszaku skórę lisa, czuje w sobie zew jakiejś weterynaryjnej przysięgi Hipokratesa i rusza z odsieczką. Ryszard chce pomóc zemdlonemu lisowi, chce ocalić biedne zwierzę. Gdybyście to widzieli! Gdybyście widzieli, jak Schimscheiner bada lisowi puls, jak mu robi sztuczne oddychanie, jak duma, czy nie zastosować metody usta-usta, wreszcie, jak sięga po środek ostateczny, po środek, który jemu samemu tyle razy w życiu ocalił życie, słowem - jak wkłada lisi pyszczek do szklanej pełnej naszego narodowego napoju orzeźwiającego, gdybyście to wszystko widzieli, to moglibyście mi to w szczegółach opowiedzieć, albo wiem ja mało pamiętam. Mało pamiętam, bo lzy śmiechu zalewały mi oczy, a nieludzko skacząca przepona trzeszczała w szwach. Byłem wtedy taki, jak cała widownia - umarli z frenetycznego rechotu. Tak jest, gdy Schimscheiner reanimuje lisa, gdy mu się nad lisem burzy ta jego niebываła

zaczaska, w której wygląda jak Louis de Funes w esesmańskim hełmie - jest właściwie po spektaklu. Partnerki Schimscheinera mogłyby spokojnie iść na kawę do bufetu. Nie da się już dalej oglądać. Na widowni wstąki ludzi, co się zaśmiało na amen. Doprawdy, Ryszarda Schimscheinera to jest farsowy majstersztyk. Ale co mi z tego, skoro wciąż nie wiem, skąd mam dynię w lewym kolanie. Zaraz, zaraz... A kto siedział po mojej lewej? Czy aby nie redaktor Wacław K.? Tak - on. Czyżby więc... Ale powoli, powoli. Nie szarżujemy.

Siedzieliśmy, napawaliśmy się tą kojącą reżyserką prostotą, która Jerzemu Fedorowiczowi nie pozwoliła zgubić morderczych smaków fenomenalnie napisanej farsy. O czym jest „Prywatna klinika”? A po co ci to wiedzieć? Wiedz tylko, że jak na przedstawienie pójdziesz, to poczujesz, że za moment polegiesz najłżejszą w twym życiu śmiercią. A poza tym - nie zdradza się kulis dźwiękiem. Siedzieliśmy więc, spektakl nabierał tempa nie z tej ziemi, na widowni puszczały premierowe lody. Rzecz stawała się zdumiewająca jak kokos pod paznokciem Gołoty, ciepła jak pieścizna mistrza sumo, smaczna jak pletwał błękitny w zębach King Konga i bezpieczna jak ulepiony z sen-

nej mgły uśmiech bezzębnego Kuby Rozpruwacza, który to Kuba, właśnie dlatego, że śniony, może ci naskoczyć. Faceci na widowni targali koszułki, kobiety tarłymi własne kunsztowne kofaury, wszyscy, bijąc się na odlew po plecach, walczyli o oddech. Schimscheiner ratował lisa i wtedy... Tak - wreszcie sobie przypominałem!!!

Pamiętam ten wściekły skowyt rechoczącego redaktora Wacława K. Pamiętam, jak sufit teatru zaczął od tego ryku falować. Pamiętam jęk jego okularów, które miażdżył bezradnymi ze śmiechu szczękami i jak zwykle nieskazitelnie obute nogi jego w powietrzu pamiętam, nogi, którymi dobił i tak już nieżywą niewiastę, co siedziała przed nim. Nade wszystko - odnalazłem przyczynę mej dyni. Oto koścista i niczym kafar lśniącą pięść zawiśa nade mną. Tak jest, Wacław Rozpruwacz chce mnie zabić, żeby przeżyć, ale ze śmiechu nie trafia w mą głowę. Redaktorski kafar trnie powietrze, słyszę morderczy świst... Wszystko jest już jasne. Nawet bardzo jasne. I zaskakująco trafne. Czym bowiem jest farsa, jeśli nie walcem śmiechu, po przejeździe którego sprasowani widzowie nic nie pamiętają, ale żyje im się o tonę lżej, nawet z dynią w kolanie? Swoją drogą, mógłby redaktor Wacław K. pokusić się o umiar. Zwłaszcza w momentach kluczowych.

Teatr Ludowy. John Chapman i Dave Freeman „Prywatna klinika”. Reżyseria Jerzy Fedorowicz. Scenografia Elżbieta Krywsza. Muzyka Krzysztof Sz wajgier. Choreografia Monika Myśliwiec. Aranżacja świateł Miłkołaj Górecki.